

Mała wystawa wielkich artystów [RECENZJA]

Ta kameralna wystawka to łódzka awangarda w pigułce – jest jej akurat tyle, by zorientować się, z jakimi osobowościami artystycznymi mamy do czynienia, a nie czuć się przeciążonym.

Muzeum Miasta Łodzi w Roku Awangardy wydobyło ze swoich zbiorów prace Władysława Strzemińskiego i pięciorga jego pierwszych wybitnych uczniów: Stanisława Fijałkowskiego, Stefana Krygiera, Antoniego Starczewskiego, Lecha Kunki i Leny Kowalewicz-Wegner.

To jego studenci z Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, którą Strzemiński współtworzył i w której uczył m.in. historii sztuki i podstaw kompozycji, stając się dla młodych artystów wielkim autorytetem w sprawach dotyczących twórczości także w praktyce. Ta piątka studiowała tam na przełomie lat 40. i 50.

Wystawa stawia pytanie, na ile Strzemiński wpłynął na twórczość swoich uczniów, a na ile tylko wskazywał kierunki. Jaka jest odpowiedź według Anny Małaczyńskiej, jednej z trojga kuratorów? – To była na tyle silna osobowość, że wpłynęła na uczniów. Zasady twórczości, których uczył to: uporządkowanie, dyscyplina, funkcjonalność i precyzja wypowiedzi. Każdy z tych artystów poszedł swoją drogą, ale powtarzalność, rytm zostały w ich sztuce. Staraliśmy się pokazać jak najwcześniejsze prace z naszych zbiorów – Starczewskiego mamy dopiero z lat 70. Wszystkie one dobrze pokazują zasady, o których wspominałam. Widać, że Strzemiński wskazywał horyzonty, ale nie wyznaczał dróg. Wybór należał do artysty.

Władysław Strzemiński uczył, że artysta musi szukać nowych rozwiązań w sztuce. Wystarczy rzut oka na wystawę, by przekonać się, że uczniowie wzięli sobie tę naukę do serca. Tych pięcioro uczniów to artystyczne osobowości, a sztuka każdego z nich to inny artystyczny wszechświat.

Na ekspozycję wybrano po kilka prac. W przypadku samego Strzemińskiego pokazano wszystko, co znajduje się w zbiorach MMŁ. Zatem – sześć niewielkich, delikatnych dziełek, z których część prawdopodobnie nigdy dotąd nie była pokazywana, jak dwa niedatowane malutkie akwarelowe pejzaże wiejskie, realistyczne, ale nie dosłowne, malowane subtelnie, ale dość ekspresyjnie, a rytm wyznaczają w nich czarne linie polnych bruzd. Te ostatnie prace, jak domyślają się twórcy wystawy, artysta stworzył na sprzedaż. Poza nimi jest jeszcze nieznacznie większa kubistyczna panorama (także akwarelowa) spiętrzonych zabudowań Kuluszek lub Brzezin – nie wiadomo na pewno, bo pochodzi z około 1927 roku, gdy autor przebywał w obu tych miasteczkach, ucząc w szkołach. Uproszczone, zgeometryzowane budynki obwiedzione są czarną kredką, a plamy koloru dynamizują przedstawienie. Skala barw jest mocno ograniczona: czerwonobrazowa na zabudowaniach, zielona w partiach trawy i drzewa. No i trzy rysunki, w tym matryca do cyklu „Ludzi z okresu wojny” z 1939 roku: trzy zbudowane rozchwianą linią postaci bezrobotnych na kalce (linia oddaje psychiczny stan tych ludzi). Tę matrycę artysta przykładał do kartonu i odciskał kształty, by potem uzupełnić je na różne sposoby. Obok można oglądać jedną z takich „odbitek”: sylwetki dopełnione miętko rysowanymi światłocieniami, tworzącymi „plamy” koloru. Matryca i „odbitka” zostały uzyskane przez muzeum bezpośrednio od córki Strzemińskiego i Katarzyny Kobro, Niki Strzemińskiej.

Ostatnia praca wielkiego awangardzisty to niezwykle subtelny rysunek prządek z 1950 roku. Sprzeciwiając się socrealizmowi, jego płytkości i propagandowemu sensowi, Strzemiński tworzył prace poświęcone łódzkim robotnikom, w których obrazował – w przeciwieństwie do twórców dzieł realizmu socjalistycznego – trudy ich życia. „Prządky” to właśnie takie przedstawienie. Delikatność kreski jest przeciwieństwem warunków pracy kobiet, odwrotnością masywności maszyn, ogromu fabryki, „ciężaru” hałasu i zmęczenia. Jako awangardzista Strzemiński próbuje oddać współpracę człowieka i maszyny, ich jedność. Rozedrgane linie odzwierciedlają wibracje maszyn, postawy prządek oddają rytm ich pracy: jedna wyprostowana, druga pochylona – wyglądają jak jedna osoba

w kolejnych sekwencjach ruchu.

Kilka kroków dalej i jesteśmy w innym świecie. Stanisław Fijałkowski ukochał abstrakcję, metaforę, poetyckość i niedopowiedzenie – na bazie niedoskonałej geometrii. Wszystkie pięć pokazywanych prac (rysunek i cztery grafiki z lat 1949-82) jest w tonacji czarno-białej. Czas uzupełnił najstarszą z nich żółto-brązowym zabarwieniem papieru. Droga, którą obrał na początku kariery, artysta podąża do dziś. Już wtedy dla uporządkowania zamykał kompozycję „ramką” wokół przedstawienia i formował przestrzeń prostymi liniami.

Twórczość Leny Kowalewicz-Wegner (z drugiej połowy lat 50.) jest skrajnie inna. Jak twierdzi sama artystka, jest w niej zarówno zamiłowanie do porządku, jak i intuicyjność, spontaniczność, zmysłowość. Dwa obrazy łączy mocny kolor użyty z pozoru chaotycznie i przypadkowo, ale w rzeczywistości w sposób przemyślany. Szerokie plamy i mocna faktura sprawiają nadają pracom ekspresyjności. W trzecim kolor jest już ujęty w wyraźne ryzy i nie zajmuje całej kompozycji. Czwarty obraz – „Dzień zimowy” lub „Zima” z 1959 roku – różni się od pozostałych. Wyraźnie inspirowany jest „Powidokami” Strzemińskiego. I prawie pozbawiony kolorów – błękit, fiolet, żółć, zieleń są tak rozbielone, że ledwie tylko odróżniają się od białej dominanty.

Jedyny obraz Lecha Kunki – duża czarno-biała „Kompozycja” z 1968 roku – jest niezwykle efektowny. Pochodzi z okresu, w którym artysta zapełniał płótna zaokrąglonymi, organicznymi formami przypominającymi powiększone pod mikroskopem biologiczne komórki albo widziane przez teleskop kosmiczne obiekty. Formy wypełniają całą kompozycję, stając się dalekim echem unizmu Strzemińskiego. Dalekim – bo w przeciwieństwie do „pierwowzorów” pełne są dramatyzmu, budzą niepokój. W tym przypadku kojarzą się nie z żywym organizmem, ale ze spalonym ciałem i nie z dynamicznymi układami planet i gwiazd, ale z wszechświatem po totalnej katastrofie.

Obok – dla kontrastu – umieszczono najsubtelniejsze, najczystsze i „najcichsze” prace na wystawie: grafiki Antoniego Starczewskiego z białymi elementami wyciśniętymi na białym tle (jeszcze inne echo unizmu). Artysta stworzył coś w rodzaju uniwersalnego alfabetu, który nie przekazuje słów lecz – może – stan umysłu, a składa się z symboli: w przypadku oglądanych prac wzorku przypominającego odręczne pismo oraz „ziarenek ryżu”, w innych przypadkach także owoców, warzyw, liści, liter. Z opisu towarzyszącego pracom dowiadujemy się, jakoby mawiał, że „słowa się przeżyły”.

I ostatnia grupa dzieł – Stefana Krygiera z lat 1960-66. Zestaw najbardziej efektowny, bo złożony z prac będących zapisem rytmu. Zafascynowany sztuką staroegipską, artysta wyciągnął z niej esencję na potrzeby własnej twórczości. Powtarzalny motyw spłaszczającego się i rozszerzającego łuku buduje przestrzeń, tworząc niekiedy iluzję jej zagięcia. Wspaniały jest duży olejny, czarno-biały obraz z trójwymiarowymi płóciennymi elementami doklejonymi do powierzchni. Układają się one w kształt przypominający szkielet ryby z cieniem dawnej cielesnej powłoki – jak w idealnie zachowanych skamielinach prehistorycznych stworzeń.

Wystawa jest znakomitą lekcją łódzkiej awangardy. Mimo że w bardzo okrojonym zakresie – to w końcu tylko sześcioro artystów – wystarczy, by się zachwycić...

Uzupełnieniem wystawy jest animacja z utworami Zygmunta Krauzego inspirowanymi unizmem Władysława Strzemińskiego – bez dramaturgii i punktów kulminacyjnych.

Aleksandra Talaga-Nowacka

„Podążając za Strzemińskim... Artyści awangardy łódzkiej ze zbiorów Muzeum Miasta Łodzi” – wystawa w ramach łódzkich obchodów Roku Awangardy „Łódź stolicą awangardy”.

Kuratorzy: Anna Małaczyńska, Adam Klimczak, Marta Skłodowska.

Czynna do 18 czerwca 2017.

